

BYĆ WZAJEMNIE ZE SOBĄ

Rozważanie o duszpasterstwie ludzi upośledzonych umysłowo

Pokusa całego duszpasterstwa polega na tym, że chce ono robić coś dla innych.

„Wzajemne przebywanie ze sobą znaczy więcej, niż tylko coś robić dla innych” — mówił Jean Vanier, założyciel społeczności *Arche*, podsumowując dwadzieścia pięć lat wspólnego życia z upośledzonymi umysłowo. „Jak się to robi?” — chciałoby się go zapytać — „I czy ponad dwieście wspólnot domowych *Arche*, na pięciu kontynentach, w których upośledzeni przebywają wspólnie z nieupośledzonymi dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak zupełnie samo z siebie powstało — tylko przez to, że jest się razem?”

Można, naturalnie, zapytać jeszcze inaczej: Co stanowi o sukcesie *Arche*? Dlaczego coraz więcej młodych ludzi, wszystkich odcieni wiary, pielgrzymuje dziś do Trosly, oddalonego o godzinę na północ od Paryża, macierzystego domu *Arche*, tak samo jak pielgrzymuje się do Taizé, czy do Asyżu?

Można się zapytać: Kim w ogóle jest ten Vanier? Jak zaczęła się cała jego przygoda?

Vanier jest z pochodzenia Kanadyjczykiem. Najpierw był oficerem królewskiej marynarki wojennej na lotniskowcu, potem profesorem na *St. Michaels College* uniwersytetu w Toronto. Do podjęcia tego zadania przygotowywał go w Paryżu dominikanin — o. Thomas Philippe.

Vanier odwiedzał o. Thomasa w 1954 r., gdy ten został kapelanem zakładu dla upośledzonych umysłowo w Trosly.

Pokonany przez zupełnie nieznaną sobie świat upośledzonych umysłowo, zdecydował się Vanier, nie mając do tego najmniejszych kompetencji, dzielić swoje życie z upośledzonymi. Z dwoma spośród nich i o. Thomasem wprowadził się do rozwalającego się wiejskiego domu, który nazwał *L'Arche* (tzn. Arka).

Tak rozpoczęła się owa przygoda, o której dwadzieścia pięć lat później napisał: „Dzieląc życie z tymi mężczyznami i kobietami, którzy mniej lub bardziej byli oszpeceni, chciałem im umożliwić ludzką egzystencję. Jednak stopniowo odkrywałem, że to właśnie oni pomogli mi ukształtować mój ludzki wizerunek. Oni pozwolili mi odkryć, jak bardzo sam jestem człowiekiem”¹.

1 J. Vanier, *Heilende Gemeinschaft*, Salzburg 1990, s. 10.

Co się stało? Vanier — wychowany w duchu katolickim, wykształcony teolog świecki, oficer i profesor — w wieku czterdziestu lat odkrył zbawczą obecność Boga w tych, dla których ratowania i leczenia zrezygnował ze swojej kariery uniwersyteckiej — w tych najbiedniejszych.

Co jest godne naśladowania na tej drodze? Skuteczna służba bliźniemu, jak sądzimy, zakłada przede wszystkim odpowiednie kompetencje. Jest to szczególnie ważne przy tak skomplikowanych i zróżnicowanych bliźnich, jak upośledzeni umysłowo. Jednakże kompetencje przynoszą ze sobą nieodzownie hierarchiczny porządek: od dającego do otrzymującego, od opiekuna do podopiecznego.

Dlaczego zapominamy o tym tak prędko? Nasze kompetencje jawią się przede wszystkim jako tarcza ochronna przeciw zbyt nieprzewidzianym zachowaniom upośledzonych. Ciągłe przypomnianie o nich grozi nam nie tylko tym, że będzie to miało wpływ na nasz intelekt, lecz także tym, że powoli lecz skutecznie przeniknie nas do głębi. Upośledzeń innych osób nie odbieramy na podstawie tego, co uważamy za naszą intelektualną przewagę. To groziłoby nam tym, że wyjdą na jaw nasze własne upośledzenia: nasze słabe strony, nasze trzymane w ryzach sympatie i antypatie, nasze nastroje i złe humory. Niekiedy wyjdą na jaw nawet owe lęki, które tak nas przerażają, że musimy je znowu przytłumić — właśnie przez nasze kompetencje, dzięki którym panujemy nad nimi tak długo i tak dobrze, jak to tylko jest możliwe.

Lecz pewnego dnia człowiek z upośledzeniem umysłowym może przez swoją upartość dziecka i naiwność swojego miłosnego daru zburzyć moją duchową równowagę. Wówczas stracę opanowanie — i to nie tylko na chwilę, lecz — jak się to okazuje w rzeczywistości — niekiedy nawet na całe życie.

Moje rzeczowe kompetencje mają jeszcze jeden domniemany plus: Uświadamiają mi, że jestem za kogoś odpowiedzialny. Reakcje tego kogoś mogą mi niewiele zaszkodzić, dopóki umiem je właściwie ocenić. Ja wiem, co mam mu poradzić, jak muszę się z nim, po bratersku, obchodzić. Jako jego duszpasterz czy wychowawca, będę zawsze pragnął jedynie jego dobra — ale o tym, co jest dla niego najlepsze, wiem tylko ja, ponieważ on sam na skutek jego upośledzenia nie może tego rozpoznać. Ja będę również decydował za niego o tym, jaki jego sposób zachowania wpływa korzystnie na porządek we wspólnocie, nad czym „my” musimy jeszcze pracować i czego on powinien raczej całkowicie zaniechać.

Vanier, oficer z filozoficzno-teologicznym wykształceniem, także myślał na początku, że żyć we wspólnocie z upośledzonymi

oznacza w samej rzeczy wyjaśniać swoim podopiecznym, co mają robić i dlaczego, oraz cierpliwie uważać na to, by rzeczywiście to robili. Musiał się powoli uczyć, że upośledzeni mieli całkowicie inne własne wyobrażenia o wspólnym życiu, które nie zawsze zgadzały się z jego wyobrażeniami. I jeszcze więcej: musiał się nauczyć dostrzegać i brać poważnie swoiste cechy ich osobowości, szanować ich i wreszcie kochać.

Vanier musiał się nauczyć, że dzielenie życia z upośledzonymi umysłowo oznacza odkrywanie ukrytej i tajemniczej, ale przy tym niemniej realnej obecności Chrystusa w każdym członku jego mistycznego Ciała, oraz pozwolenie na to, by każdy człowiek mógł go przez tę obecność obdarować, dotknąć i przemienić.

To, naturalnie, może nieść ze sobą konsekwencje, których przyjęcie budzi w nas pewne zastrzeżenia, gdyż w jaskrawy sposób różni się od tego wszystkiego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Przede wszystkim chodzi o to, że trzeba rozpoznać i uznać w każdym człowieku uzdrawiającą i zbawczą obecność Boga, która nawet w najnędzniejszym, najbardziej zeszpeconym i najbardziej odpychającym rzuca prawdziwe, nieznanne nam dotąd światło na wcielenie Chrystusa.

Muszę brać dosłownie to, co powiedział św. Paweł: Jezus Chrystus nie skorzystał ze sposobności, aby być na równi z Bogiem, lecz uniżył się i przyjął postać ludzką, i to na prawach niewolnika (por. Flp 2, 5 n). Oznacza to, że prowadził On życie, pozbawiony wszelkich praw człowieka, dowolnie popychany i wykorzystywany, pełen słabości i lęku.

Już to samo zupełnie nie pasuje nam do naszego obrazu Boga. Jednak właśnie w takich słabościach i trwogach powinna nawet jeszcze dziś się objawiać uzdrawiająca, ocalająca i zbawcza obecność naszego Boga — i to pod taką wstrząsającą i zadziwiającą, zeszpeconą i odrażającą postacią. Ponieważ grozi nam, że w delikatnym żarze jej prostodusznej miłości stopią się choćby najgrubsze pancerze naszej „fachowej” wiedzy i kompetencji, powoli, ale niezawodnie, nie tylko spostrzegamy, jak odkrywają się nasze słabości, lecz w zdumiewający sposób uczymy się mówić „tak” na nasze wątpliwości i niepokoje, i spostrzegać na ich gruncie owego „Chrystusa we mnie”, który żyje we mnie i przez którego ja żyję.

Takiego rodzaju wymagania postawił C. G. Jung już ponad pięćdziesiąt lat temu przed kongresem ewangelickich duchownych. Vanier cytuje go na końcu swojej książki *Uzdrawiająca wspólnota*.

„Co uczyniłem najmniejszemu z moich braci — Chrystusowi uczyniłem. Gdybym teraz odkrył, że ten najmniejszy ze wszystkich, najbiedniejszy ze wszystkich żebraków, ten najbardziej zu-

chwały ze wszystkich rzucających obelgi, a nawet sam wróg jest we mnie, gdybym odkrył, że to ja sam potrzebuję jałmużny swojej dobroci, że ja sam jestem dla siebie wrogiem, którego należy kochać. Co wtedy? Wtedy z reguły przekręca się całą chrześcijańską prawdę. Wtedy nie ma już miejsca na miłość i wyrozumiałość, wtedy mówimy do ukrytego w nas brata „Raka”, wtedy potępiamy się i wściekamy na samych siebie. Na zewnątrz ukrywamy, wypieramy się, że kiedykolwiek spotkałiśmy takiego najmniejszego między nami. I choćby miał to być sam Bóg, który zbliżył się do nas w tak godnej pogardy postaci, wyparlibyśmy się go tysiąc razy, nim w ogóle zapiałby kogut”².

To, co może mi uświadomić upośledzony umysłowo, jest naprawdę straszne: nie chcieć uwierzyć w swoje własne duchowe rany i upośledzenia, zwyczajnie przechodzić nad nimi do porządku dziennego — znaczy uchylić się od Boga, od Jego upokorzenia się dla mnie, od Jego krzyża, a w ten sposób także od Jego całej przemieniającej mocy zmartwychwstania: „W Jego ranach jest nasze zdrowie” (Iz 53, 5).

Człowiek upośledzony nie zajmuje się, na szczęście, naszymi maskami, ani granymi przez nas rolami, choćby były one tak pobożne, jak jest to tylko możliwe. Człowiek z upośledzeniem umysłowym nie interesuje się ani naszymi osiągnięciami, ani naszą inteligencją, ani naszymi kompetencjami. On pragnie naszego serca. Właśnie w takim wyzwaniu jego obecność objawia się jako uzdrawiająca, ocalająca i zbawiająca nas.

W takim zaś razie możemy, a nawet musimy zapytać, czy naturalny priorytet kompetencji i skuteczności, obowiązujący w wielu kościelnych instytucjach i schematach myślenia, rzeczywiście odpowiada Ewangelii — albo, czy nie obrazuje on często korzystania z „Ducha tego świata” Bo gdzie jest wiedza, tam jest też zawsze pokusa władzy. Pragnienie władzy może przybierać w Kościele osobliwe formy. Najchętniej ukrywa się je pod nieustanną gotowością służby: wszystkie moje siły powinny należeć do najbiedniejszych. Ale biada tym najbiedniejszym, jeżeli oni nie są mi ślepo posłuszni! albo jeżeli kogoś innego lubią bardziej niż mnie, lub robią to, co inny im mówi!

Powtórzmy jeszcze raz: wiedza łatwo prowadzi do pragnienia władzy, pragnienie zaś władzy — do myśli o współzawodnictwie, myśl o współzawodnictwie natomiast — do pragnienia posiadania. Ale gdzie w grę wchodzi pożądanie, tam duch tego świata jest w swoim żywiole. Tam nie może być mowy o służbie w ewangelicznym sensie. I choćby nawet taka przesadna gotowość służby

² C. G. Jung. *Gesammelte Werke*, XI, s. 367 n.

miała prowadzić do zawału serca, wyższość opiekuna nad podopiecznym nie zostanie bynajmniej przez to zaniechana. Wprost przeciwnie, podopieczny powinien być wdzięczny za doznawaną opiekę, a jeśli sprawia trudności, ma na pewno wypaczone sumienie. Ta iluzja opiekuna pozostaje niewzruszona: ja wiem więcej, a więc mam większą odpowiedzialność i prawo do czynienia tego, co jest dla innych słuszne! Ja muszę mieć możliwość wymagać posłuszeństwa i wiedzieć, jak do niego zobowiązać.

Takie dążenia do władzy mogą oczywiście przyjmować bardzo subtelne formy, zwłaszcza w Kościele. Dziś dużo się mówi o normalizacji w pracy z upośledzonymi. Trochę w uproszczony sposób teza ta brzmi: Człowiek upośledzony umysłowo jest człowiekiem takim, jak każdy inny, dlatego powinny stać przed nim otworem wszystkie prawa człowieka, na przykład prawo do wolnej seksualności.

To, czy człowiek z upośledzeniem umysłowym chce robić z tego prawa użytek, Jean Vanier — na podstawie długoletniego doświadczenia w życiu z upośledzonymi — stanowczo kwestionuje. Człowiekowi upośledzonemu umysłowo, jak każdemu innemu, chodzi przede wszystkim o poczucie bezpieczeństwa we wszystkich kontaktach z innymi. Może to znaleźć wyraz między innymi w uprawianiu stosunków seksualnych, jeżeli rzeczywiście będzie tu chodzić o stały kontakt, o związek na całe życie. Człowiek upośledzony umysłowo tym bardziej będzie szukał bezpieczeństwa i ciepła we wszystkich swych kontaktach, im większy niedostatek cierpiał z tego powodu już we wczesnym dzieciństwie, w domu rodzinnym lub zakładzie wychowawczym. Jeżeli popiera się systematyczne uprawianie kontaktów seksualnych, jeżeli przymusza się niejako do nich ludzi upośledzonych argumentem, że w przeciwnym razie nie mieliby oni żadnej możliwości wyrażenia swojego pragnienia kontaktu z drugim człowiekiem, wywołuje się w ten sposób w nich tylko dalsze frustracje i rozczarowania. Ich wewnętrzna izolacja nie zostaje przez to wcale zburzona, przeciwnie: wzrasta. Duszpasterze i wychowawcy — z powodu wymaganej od nich tak osobliwej wielkoduszności — dążą do zawierania różnorodnych i zaangażowanych więzi z upośledzonymi, które wiele od nich wymagają, lecz przez które także oni sami mogą być obdarowani. Tymczasem zamiast walczyć z samym upośledzeniem, udaje się nierzadko wielkoduszność i humanitarność, a upośledzonych pozostawia się nie tylko ich kalectwu, ale także ich frustracjom i smutnym kompensacjom. Jednak uchodzi to przecież za normalne: oto umożliwiono prawa człowieka!

Jakże groteskowy atak na godność i wolność człowieka stoi za taką normalizacją, jak bardzo został tutaj człowiek zdegrado-

wany do rangi przedmiotu, jak bardzo ateistyczno-materialistyczny obraz człowieka stoi za takim postępowaniem! zastanawiające jest to — przy tak wielkim „humanitaryzmie”!

Na tym przykładzie widzimy nazbyt wyraźnie, jak zgubne skutki może mieć bezkrytyczne przyjmowanie w duszpasterstwie, szczególnie zaś w duszpasterstwie ludzi upośledzonych, orzeczeń nauk humanistycznych, które bynajmniej nie są pewne. Tragedią człowieka „dojrzałego”, jak dziś się mówi, jest to, że chce on uzyskać samodzielność za wszelką cenę: „ja” muszę mieć możliwość zrealizować siebie, sam się spełnić, sam siebie zaspokoić — aż do zadowolenia swoich pożądań. Zależność — dla człowieka skazanego na nią w dorosłym życiu — nie jest żadnym szczęściem, lecz nieszczęściem, nie jest wzbogaceniem, ani też spełnieniem, lecz oznaką słabości i zła koniecznego, od którego za wszelką cenę trzeba się uwolnić.

Nic też dziwnego, że przez takie nastawienie także zależność od Boga stała się dla wielu „dojrzałych” ludzi złem koniecznym. Jeżeli w ogóle się modlą, czynią to po cichu. I nie chcą, by ktoś ich pytał, czy to napawa radością. To przecież nikogo ani trochę nie dotyczy. Przyjaciel, współmałżonek, ksiądz — nikt nie powinien mieszać się do moich kontaktów z Bogiem. Ja nie chciałbym ich przez to urazić lub stać się dla nich ciężarem. Nie wiem nawet, czy sam mogę jeszcze mówić o więzi z Bogiem. Najchętniej więc pomijam to milczeniem.

Ta zabawa w chowanego ludzi dojrzałych, prowadzona z samymi sobą, z innymi ludźmi i z Bogiem, ten ciągły lęk przed tym, że Bóg wymówi serdecznie: „Adamie, gdzie jesteś?”, zdaje się przepełniać prawie wszystkie rodzaje wspólnot chrześcijańskich. Na pierwszym miejscu małżeństwa i rodziny, ale tak samo klasztory i domy zakonne, instytucje charytatywne i zakłady dla upośledzonych. Ponieważ w naszych sercach nie ma miejsca na niewinność i zależność w miłości, dlatego też między nami dorosłymi nie ma także miejsca dla dziecka. Lubimy tylko ceremoniał i etykiety. „Wie się przecież, jak i gdzie” — mówi wdzięczny uczeń Mefistofelesowi w *Fauście*. Ale na pewno przy tej wiedzy ginie umiejętność zdumiewania się, jaką odznacza się dziecko. W miejsce tego zaczyna się grać rolę i tłumić siebie, co z kolei rodzi nerwice, które pochłaniają tak wiele duchowej energii. A wspólnota staje się sterylna — starannie unika się trwałej i głębokiej więzi.

Dzieci wnoszą ze sobą na świat wszechobecnego „Wielkiego Brata” przez to, że potrafią ustrzec dość długo zdolność zdumiewania się. Dlatego „stać się jak dziecko” nie oznacza: wpadać w dziecięcą iluzję niezależności, w której chciałoby się wszystko wie-

dzieć, wszystko uporządkować i poddać pod kontrolę, zanim w ogóle by to zaistniało — jak na przykład ludzkie życie. „Stać się jak dziecko” znaczy: uczyć się zdumiewania z wdzięcznością, że coś jest tak, jak jest — i że będzie się to rozwijać inaczej niż można by było przewidzieć. „Stać się jak dziecko” oznacza również: nie wykreślać ze swojego programu niespodzianek lecz je lubić, nawet jeśli wyprowadzają nas całkiem z równowagi. „Stać się jak dziecko” znaczy w końcu: lubić tajemnice i to, co stanowiąc pewną niewiadomą należy do tajemnicy.

Jednak pragnienie takie pozostanie piękną teorią, dopóki Chrystus jako Dziecko Ojca nie stanie się żywym centrum naszego życia. Innymi słowy, dopóki dziecku nie damy w nas miejsca i prawa modlić się do Ojca: „Wychwalam Cię Ojcze, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom”. (Łk 10, 21).

Przez to zaś nie można rozumieć nic innego, jak nasze uzdrowienie, uzdrowienie od pragnienia samodzielności, otrzymywane w ofierze Chrystusa, którego pokarmem jest pełnienie woli Ojca (J 4, 31). Musimy stać się prostaczkami, aby móc przyjąć od Chrystusa nasze uzdrowienie i wprowadzać je w życie, ponieważ uzdrowienie to nie jest tylko usunięciem objawów w sensie medycznym, lecz jest udziałem w Królestwie Bożym: „Cieszcie się, że imiona wasze są zapisane w niebie” — czytamy bezpośrednio przed modlitwą dziękczynną Jezusa za prostaczków (Łk 10, 20).

Stanie się prostaczkiem w sensie ewangelicznym jest nie tylko pierwszym warunkiem naszego uzdrowienia i zbawienia. Jest ono nawet rzeczą konieczną, gdyż dzięki niemu wielu widzi jasno, że nasze uzdrowienie nie polega tylko na usunięciu objawów, lecz przede wszystkim na spotkaniu z Uzdrawiającym, na przyjęciu Jego Królestwa i na przyjęciu wartości tego Królestwa w naszym życiu. Świadcstwo mocy wspólnoty chrześcijańskiej polega na tym, że ukazuje się nie tylko ludzi jako założycieli i inspiratorów wspólnego życia, lecz jeszcze bardziej wskazuje się na miłość Ojca do swoich dzieci. Ludzie mogą być zawsze tylko pośrednikami tej miłości. Mogą oni pozwolić Ojcu na tyle ich kochać, na ile są gotowi stać się dziećmi. I mogą przyjętą miłość przekazywać dalej jako dar niezasłużony, otrzymany bez żadnej zasługi. „Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie” (Mt 10, 8).

Niewątpliwie, ludzie mogą otrzymać ten dar nie tylko bezpośrednio od Boga. Stają się bowiem rzeczywiście jak dzieci, kiedy ze zdumieniem odkrywają, że są zdani na innych: że mogą spełnić i wzbogacić siebie przez świadome i dobrowolne uzależnienie się od innych ludzi. Fakt ten otwiera dla wielu całkiem nowy horyzont ich tradycyjnej chrześcijańskiej egzystencji: jako uprzy-

wilejowani pośrednicy niezasłużonych darów Boga, odkrywają to, co dotąd omijali szerokim kołem. Jak powiedział św. Franciszek po objęciu trędowatego przed bramami Asyżu: „To, co dotąd było dla mnie goryczą, teraz stało się słodyczą”. Goryczą stało się jego napiętnowane dobrobytem i powagą życie bogatego, kupieckiego syna, słodyczą zaś spotkanie z Chrystusem ukrytym pod postacią trędowatego.

Osiemdziesięcioletni dziś dominikanin, o. Thomas Philippe, nauczyciel Jean Vaniera i współzałożyciel *Arche*, powiedział kiedyś: „Oczywiście, *Arche* potrzebuje zarządców, ale inspiratorami naszej wspólnoty są upośledzeni umysłowo. Długie dziesięciolecia wykładałem z katedry *Summę* św. Tomasza z Akwinu, ale zrozumiałem ją dopiero tutaj, dzięki tym biedakom. Oni nie tylko wyprowadzili mnie z nieporozumień i przesądów, lecz przede wszystkim objawili mi na nowo miłość Boga do ludzi. Dlatego chętnie jestem dziś ich uczniem”.

Po Jeanie Vanier i o. Thomasie wszedł ostatnio na tę drogę następny, mający prawie sześćdziesiąt lat, profesor duchowości, który jest znany także u nas. Henri Nouwen opuścił w 1985 roku uniwersytet w Harvardzie i od 1986 roku żyje z upośledzonymi umysłowo w *Arche Daybreak* koło Toronto.

Między *Harvardem* a *Daybreak* istnieje coś, co on sam nazywa: „moje zniżanie się”, czyli rok szabatowy w *Arche* w Trosly pod Paryżem. Prawie trzysta stron jego obszernego dziennika duchowego ukazało się pod znamienym tytułem *Nocą przybliżyła się dzień*³. Widocznie nie było mu lekko na tej drodze: „Wiele z tych notatek mówi o bezradności, obawach i samotności, ponieważ większą część tej drogi pokonywał w nocy” — napisano w przedmowie do tej książki. Co on zrobił, żeby przezwyciężyć swoją bezsilność?

W Wielkim Tygodniu 1986 roku Nouwen notuje: „Dla mnie ważną rzeczą jest poznanie, że Jezus wypełnia swoją misję nie przez swoje czyny, lecz przez to, co Jemu uczyniono. Tak jak u innych, o największej części mojego życia rozstrzyga to, co mi wyrządzono, a więc moje życie jest krzyżem. A gdy zasadnicza część mojego życia jest krzyżem złożonym z tego, co mi wyrządzono, wtedy to, co myślę, mówię, albo robię, jest tylko w niewielkim stopniu rozstrzygające dla mojego życia. To nie jest w moim guście. Wolałbym, aby wszystkie czynności zależały od mojej własnej inicjatywy. Jednak w rzeczywistości jest tak, że przeżycia zajmują o wiele więcej miejsca w moim życiu niż czyn. Nie chcąc w to uwierzyć, odpowiadam odmownie sobie samemu...

³ H. Nouwen, *Nachts bricht der Tag an*, Freiburg 1989.

Słowa Jezusa, wypowiedziane do Piotra, uświadamiają mi, że przejście Jezusa od czynu do cierpienia musi być także naszym przejściem, jeżeli chcemy iść za Nim tą drogą. On powiedział: «Kiedy byłeś młody opasywałeś się sam i szedłeś tam, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz swe ręce, a inny cię przepasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz» (J 21, 18).

Także ja muszę pozwolić wydać siebie i tak wypełnić to, do czego zostałem powołany”⁴.

Słowa, które Jezus skierował do Piotra, stały się dla Nouwena motywem przewodnim całego jego zniżania się. Podsumowanie znajduje się w wykładzie dla amerykańskich księży⁵.

W stwierdzeniu Jezusa: „... i poprowadzi, dokąd nie chcesz”, chodzi o rzecz następującą: „Słowa te są stałym wezwaniem do tego, by ciągle odrzucać władzę w każdej formie i podążać za Jezusem, krocząc Jego pokorną drogą... Awans na odpowiedzialny urząd nie jest w chrześcijaństwie awansem umożliwiającym coraz większą swobodę i dyspozycyjność (umożliwienie jakiejś kariery wymaga tego, by wszystkiego „użyć” w świecie) lecz w rzeczywistości oznacza on zniżenie się do coraz większej dyspozycyjności, która swoje wypełnianie znajduje na krzyżu... Dotykamy tutaj najważniejszej cechy przyszłego ponoszenia odpowiedzialności w Kościele. Kto przyjmuje to zadanie, powinien wyposażyć się nie we władzę i pełnomocnictwa, lecz w słabość i pokorę, ponieważ jego zadaniem jest ukazywać ludziom Jezusa — Sługę Pańskiego. Oczywiście, nie chodzi mi o to, że ci, którzy w przyszłości będą przyjmowali urzędy w Kościele, mają być słabi psychicznie i mieć „bladą” osobowość, która staje się tylko bierną ofiarą i zdaje się na tych, którzy nią manipulują. Nie, chodzi mi o osobowość, która jest tak silna, że umie konsekwentnie rezygnować z władzy na korzyść miłości. Na tym polega prawdziwe kierownictwo duchowe.

Słabość i pokora na polu duchowym są niczym dla tych, którzy nie mają żadnego kręgosłupa i pozwalają innym za siebie decydować... Kto w przyszłości chce we wspólnocie chrześcijańskiej prowadzić innych ludzi, musi być radykalnie biedny... Jaką wartość ma ubóstwo? Żadnej poza tym, że dzięki niemu możemy zrezygnować z naszych roszczeń do przewodnictwa i zamiast tego dać się prowadzić. Jako ubodzy, stajemy się niezależni od pozytywnych czy negatywnych reakcji tych, których odwiedzamy, a zatem jesteśmy prowadzeni rzeczywiście tam, gdzie Duch Jezusa chce nas mieć”⁶.

⁴ Tamże, s. 192.

⁵ H. Nouwen, *Seelsorge, die aus dem Herzen kommt. Christliche Menschenführung in der Zukunft*, Freiburg 1989.

⁶ Tamże, s. 60 n.

To, czego nauczył się on przez życie z upośledzonymi umysłowo, ukazuje — według niego — sposób, w jaki powinni postępować przyszli duszpasterze. Już w chwili przyjscia mają oni zrezygnować z bezpieczeństwa, bycia potrzebnym i lubianym, z tego, co nieuchronnie rodzi pokusę wykorzystania władzy. Miejsce zabiegania o władzę powinna zająć kontemplacyjna modlitwa kapłana, którą Nouwen streścił w słowach Jezusa, skierowanych do Piotra: „Czy ty mnie kochasz?”. Ten sposób postępowania, na stałe utrwalony w pamięci przez to pytanie, powinien mieć pierwszeństwo w życiu kapłana i jemu powinny być podporządkowane wszystkie inne zajęcia i sposoby postępowania. Bezwarunkowe „tak” Piotra jest jedyne w swoim rodzaju, ale jest to także konieczny warunek polecenia, które brzmi: „Paś owce moje”.

To, naturalnie, nie może się powieść, jeśli się nie jest zawsze gotowym na wyznawanie win spowodowanych brakiem miłości i na przebaczenie innym. W przeciwnym wypadku, duszpasterz uparcie powoływałby się na swoją władzę i doznawałby rozgoryczeń. Nie mógłby w ogóle pełnić swojego powołania i związanej z nim propozycji: „inny cię przepasze”, a obietnicę: „i poprowadzi, dokąd nie chcesz” mylnie wytłumaczyłby jako manipulację i wyobcowanie.

Jego duchowa trzeźwość podtrzymuje taką zasadniczą postawę duszpasterza przez ciągłą refleksję teologiczną: „Przyszli duszpasterze muszą być teologami — ludźmi, którzy znają serce Boga i przez modlitwę, studium oraz staranną analizę uczą się rozpoznawać wszystkie pozornie przypadkowe znaki swojego czasu, dostrzegać tajemnicze, dobroczynne działanie Boże i objawiać je bliżnim... Człowiek jednak nie może nauczyć się tego tylko przez modlitwę intelektualną. Do tego potrzeba dogłębnej formacji duchowej całej osobowości — formacji ciała, umysłu i serca”⁷.

Nouwen wie, że jego i ich sposób przekazywania nie są nowe; skoro jednak usunięto je w znacznym stopniu z praktyki duszpasterskiej, są one nieomal nieznane:

„To, co powiedziałem, nie jest oczywiście niczym nowym, ale mam nadzieję i modłę się, żebyście zapamiętali: najstarszy, najbardziej tradycyjny ideał chrześcijańskiego duszpasterza jest wciąż jeszcze ideałem, który czeka na swoje urzeczywistnienie w przyszłości”⁸.

Dlaczego w różnych dziedzinach widać tak wiele wahań, jeżeli tęsknota za zbawieniem, przede wszystkim zaś za zbawieniem własnym jako duszpasterza, staje się z dnia na dzień coraz bardziej

⁷ Tamże, s. 66 n.

⁸ Tamże, s. 70.

intensywna? Nouwen przytacza ideał, który on sam prawdziwie wcielił w życie, ale przed którego urzeczywistnieniem wielu kapłanów ciągle jeszcze się wzdraga, jakby wszystko to było obce rzeczywistości i niewarte dyskusji, ponieważ czyni duszpasterstwo czymś nierealnym, a także samo jest obce duszpasterzom.

„Chciałbym was zapoznać z obrazem chrześcijanina, który przyjmuje na siebie odpowiedzialność za innych, który obie swoje ręce wyciąga daleko i wybiera życie prowadzące aż do osobistego wyniszczenia. Jest to obraz człowieka, który modli się, jest czysty i który bezgranicznie ufa. Życzyłbym wam, byście, myśląc o nadchodzącym stuleciu, mogli napęlić ten obraz nadzieją, odwagą i ufnością”⁹.

Obok modlitwy i ufności pojawia się tutaj kluczowe słowo: wewnętrzna wrażliwość. Ponieważ z funkcją duszpasterza bardziej łączy się cierpienie niż władza, musi on być gotowy na przyjęcie zadawanych mu ran. Właśnie tego wielu z nas bardzo się boi. Uważają, że nie da się już dłużej wytrzymać zbyt licznych trudności wynikających z ciągłych upokorzeń i niepowodzeń w powołaniu.

Samo życie profesora *Harvardu* wyglądało w gruncie rzeczy bardzo podobnie. Skąd otrzymał on tyle gotowości na zadawane mu cierpienia, a w końcu łaskę owej rany, która nigdy się nie goi, ale przez którą my wszyscy możemy być uzdrowieni na zawsze?

Źródłem tego wszystkiego jest miłość, a nawet czuła obecność Boga w najbiedniejszych. Od nich „wychodzi” owo duszpasterstwo, którego nie uczą żadne metody, ani też wiedza książkowa, duszpasterstwo, w którym ci ludzie, potrzebujący opieki, mogą nas bardzo hojnie obdarzyć. W ich sercach bowiem bije serce Boga.

Co powiedział Vanier? „Dzieląc życie z tymi mężczyznami i kobietami, którzy mniej lub bardziej byli oszpeceni, chciałem im umożliwić ludzką egzystencję. Jednak stopniowo odkrywałem, że to właśnie oni pomogli mi ukształtować mój ludzki wizerunek. Oni pozwolili mi odkryć, jak bardzo jestem człowiekiem”¹⁰.

tłum. Michał Kiedrowski SAC

⁹ Tamże, s. 70 n.

¹⁰ J. Vanier, *Heilende Gemeinschaft*, s. 10. Por. inne książki tego autora na ten temat: *Gemeinschaft, Ort der Versöhnung und des Festes*, Salzburg 1990; *Herausfordernde Gemeinschaft*, Salzburg 1987; *Heile, was gebrochen ist*, Freiburg 1990.